

MOROKA¹

Iwan Kulik

Urodzony na długo przed I wojną światową, w roku wielkiej suszy i małego urodzaju, uważany był przez społeczność Liaszcziwki za człowieka bardzo skomplikowanego i trudnego we współżyciu. Był naszym sąsiadem z przeciwka. Mieszkał z chorą żoną, która nie mogła chodzić i czołgała się po ziemi. Jak miał na imię – nie wiedziałem, nazywaliśmy go po prostu Moroka. Żonę ciągał za sobą po ziemi, co było przerażającym widokiem. Żył w jamie wykopanej w ziemi. Wokół ziemianki było pusto, ani drzew, ani ogrodu. Moroka nigdy nie pracował w kołchozie, i to było naprawdę rzadko spotykanym zjawiskiem. Jego dom został zatopiony w wodzie podobnie jak nasz poprzedni dom, kiedy zbudowano zaporę na Dnieprze i powstał Zalew Kremenczucki. Wszyscy zdołali jakoś postawić nowe domy, a Moroka wykopał jamę, okrył ją gałęziami, przysypał ziemią i zamieszkał tam z żoną. Jako bardzo wierzący człowiek w czasie kolektywizacji nie poszedł do kołchozu, za co go aresztowano, osądzono i wysłano na przymusowe roboty. Znał na pamięć wszystkie modlitwy i nieustannie się modlił, błagając Boga, by pomógł mu przeżyć życie niezauważonym przez innych ludzi. Na modlitwach spędzał mnóstwo czasu, dlatego ludzie uważali go za człowieka niespełna rozumu. Wszyscy wokół Moroki byli jakby i wierzący, ale tych, którzy dużo czasu spędzali na modlitwach, nie lubiano. Podczas aresztowań padał na kolana i, szepcząc modlitwy, spoglądał w niebo. Tak wyglądało to przez całe jego życie, do głębokiej starości i śmierci. Wracał z więzienia, znów go aresztowano za nieróbstwo, bito, głodzono, a on po prostu się modlił. Przewodniczący kołchozu wysyłał po niego młodych chłopców, żeby wyciągnęli go z ziemianki. Ci wyciągali go za nogi i wywozili do pracy w pole, a on znowu padał na kolana i się modlił. Odmawiał pracy. Komunistów nazywał dziećmi diabła, co kołchozowych aktywistów doprowadzało do wściekłości. Chodził po wsi, prosząc ludzi o obierki z ziemniaków, i jakoś żył. Uważano go za niespełna rozumu.

Gdy nadeszła wojna, Morokę na siłę wcielono do Armii Radzieckiej. Armia odchodziła na wschód, nie zdążył nawet otrzymać munduru, został w grupie poborowych ubranych po cywilnemu. Opuścił grupę i na kolanach

poszedł do najbliższej cerkwi. Tam modlił się, dopóki nie wkroczyli Niemcy. Wrócił do Liaszcziwki w tym czasie, kiedy Niemcy budowali w niej kołchoz na swoją modłę. Zaproponowali Moroce pracę. Pobili go za to, że im powiedział, że nie pracował dla komunistów, więc nie będzie też pracować dla Niemców. Dla niego – wszystko jedno: komuniści czy faszyci – pochodzili z krainy ciemności. Kiedy policjanci go zbili, na koniec spytali: „Zrozumiałeś? Odpowiedział: „Zrozumiałem”. „To teraz idź i pracuj, żarty się skończyły. Nadeszły nowe czasy, głupka mogłeś udawać przy komunistach. Jeśli nie będziesz dobrze pracować tu, w Liaszcziwce, zawieziemy cię do Niemiec

Niektórzy zazdrościli Moroce: urządził się w życiu wygodnie! W kołchozie nie pracuje, siedzi w jamie, nie interesuje go ani państwo, ani władza, ani partia. „Choć i siedzą z żoną głodni, za to nie pracują! A my się napracujemy, a i tak pozostajemy głodni”.

– a tam już cię nauczą, jak pracować!” I Moroka natychmiast po chłościę pobiegł w pole. Bardzo się tam starał, chciał uratować życie. Drugiej takiej chłosty już by nie przeżył. Przy pierwszej nadarzającej się okazji uciekł jednak do lasu. Tam ukrył się w wilczej norze i tak doczekał końca wojny. Do wsi powrócił z długimi włosami i brodą do pasa. Nie oskarżono go o dezercję, bo powszechnie uważano go za „bożego człowieka” – wariata – i jakoś mu się upiekło.

Był typem człowieka aspołecznego. Większość swojego życia spędził w głodzie, chłódzie, wilgoci i na modlitwie. Żona, siedząc z nim w ziemiance, w końcu straciła władzę w nogach i nabawiła się różnych innych chorób. Niektórzy zazdrościli Moroce: urządził się w życiu wygodnie! W kołchozie nie pracuje, siedzi w jamie, nie interesuje go ani państwo, ani władza, ani partia. „Choć i siedzą z żoną głodni, za to nie pracują! A my się napracujemy, a i tak pozostajemy głodni”. Wielu rozmawiało o przewodze ziemianki nad domem, który stoi na powierzchni ziemi. Kiedy człowiek żyje w domu, jest zawsze na widoku. A kiedy człowiek żyje w ziemi – nikt nie wie, czy jest właśnie w dziurze, czy nie, i nikt go nie wygania do pracy w kołchozie. Ojciec w takich przypadkach wyjaśniał mi, że jeśliby wszyscy tak się chowali do ziemi i tam siedzieli, to nigdy by nie było tak mocnego państwa. A nauczyciel historii, Długonosek, powiedział nam, uczniom: „Nie patrzcie na tego Morokę, to nie jest wzorzec do naśladowania. Jesteście młodzieżą radziecką! Pamiętajcie słowa Władimira Iljicza Lenina – on podkreślał, że tylko praca

zrobiła z mały człowieka. I ta mała wyszła ze swojej pieczary, ze swojej ciemnoty, stała się człowiekiem, zbudowała kombinaty i fabryki. Ten nowy człowiek, w odróżnieniu od mały, zbudował samoloty, samochody, statki kosmiczne, rozszczepił atom. A dziki człowiek – jaki z niego pożytek? Siedziałby, ot tak, w jamie, jak siedzi Moroka, w ciemnocie, wilgoci, w swoim moralnym ubóstwie. Dla nas, komunistów, on nie jest człowiekiem, a małą!” Było mi smutno, kiedy jako chłopiec spotykałem Morokę na ulicy. Czuję do niego sympatię. Nawet jeśli mała – to bardzo dobra i nie złośliwa, nie taka wredna jak Długonosek.

Nasza wychowawczyni, Olga Stiepanowna, mówiła: „Dzisiaj napiszemy kolektywny list i zaniesiemy go, żeby wręczyć osobiście Moroce. Dzieci! Napiszemy list z wezwaniem do jego sumienia. Kiedy mieszkańcy Liaszcziwki uczciwie trudzą się w kołchozie, oddając swój dług państwu radzieckiemu, Moroka wie, pasyżniczy tryb życia na ciele naszego narodu i ziemi”.

„Dzisiaj napiszemy kolektywny list i zaniesiemy go, żeby wręczyć osobiście Moroce. Dzieci! Napiszemy list z wezwaniem do jego sumienia. Kiedy mieszkańcy Liaszcziwki uczciwie trudzą się w kołchozie, oddając swój dług państwu radzieckiemu, Moroka wie, pasyżniczy tryb życia na ciele naszego narodu i ziemi”.

List kończył się wezwaniem: „Iwanie Michaiłowiczu Pacioro! Wzywamy wasze sumienie, żeby nastąpiło jego przebudzenie w waszej duszy!”. Po lekcjach całą klasę posłaliśmy wręczyć list Moroce. Zastaliśmy go siedzącego przed ziemianką, wygrzewającego się na słońcu. Siedział nieruchomo z zamkniętymi oczami, wystawiając twarz na słoneczne promienie. Olga Stiepanowna ustawiła uczniów w szeregu. Przed szereg wyszedł najważniejszy: Iwan Riabowół i przeczytał list tak głośno, jak tylko mógł. Po tem złożył list na czworo i podszedłszy do Moroki, wsunął mu go w rękę. Moroka jakby się przebudził, poruszył palcami, i list wypadł mu z ręki. Po tem, pokaszując, podniósł się, pochylił się i polazł do swojej ziemianki. Olga Iwanowna i przewodnicząca pionierów zrozumiały, że ze strony Moroki nie można się spodziewać reakcji na list. Przewodnicząca pionierów, córka dyrektora szkoły, zwróciła się do nas: „Krzyczcie głośno chórem: Iwanie Michaiłowiczu! Co zrobiliście dla społeczeństwa, żyjąc w społeczeństwie? Czerpiesz z niego wszystko, a nic mu nie dajesz ! Jak ci nie wstyd być takim leniwym!”. Krzyczeliśmy tak kilka minut. Podobne akcje powtarzały się co

rok, kiedy wprowadzano nowych pionierów. Stały się tradycyjnym punktem programu wychowawczego. Kiedy Moroka wyłaził z dziury po takiej akcji i spotykał ludzi na ulicy, wpatrywał im się w oczy z wyrazem winy, szukając usprawiedliwienia i podtrzymania swojego sposobu życia. Ludzie mówili: „My cię rozumiemy i sami tak chcielibyśmy żyć, tylko nie mamy śmiałości, żeby się schować i nie chodzić do pracy w kołchozie. Boimy się władzy...”. Inni – przodownicy pracy – mówili: „Swoim zachowaniem masz zły wpływ na dzieci. Uczysz je lenistwa. Sam dożyłeś już słusznych lat, a jeszcze dla wsi i kołchozu nic nie zrobiłeś. Nie napracowałeś się...”. We wsi panowała o Moroce jednoznaczna opinia – jako człowieku leniwym. Rodzice straszili dzieci jego przykładem: „Jeśli nie będziesz pracowity, to zostaniesz kimś takim jak Moroka. Będziesz siedzieć w jamie bez jedzenia i wody...”.

Moroka znalazł siły tylko na to, żeby wykopać sobie ziemiankę, ale nigdy nie wykopał koła niej studni. Wodę zbierał do beczki z kałuż. Kiedy nie było deszczu, chodził prosić o nią sąsiadów. Ludzie czasem dawali mu wodę z chęcią, ale czasem mówili, że mają za płytką studnię, w niej mało wody i trzeba ją pogłębić na 3–4 metry. I prosili o to Morokę – jako specjalistę od siedzenia pod ziemią. Moroka się wykręcał, mówił, że na wodzie się nie zna i starał się nie chodzić do tych ludzi więcej po wodę, czekał na deszcz. Dzieci podbiegały do ziemianki, koło której stała beczka, i pluły do niej. Czasem wrzucały do niej kocie gówno. Po tem radośnie odbiegały i, chichocząc, chwaliły się przed sobą swoimi bohaterskimi czynami. Moroka wychodził na ulicę pokazać to, co wyciągnął z beczki, rodzicom dzieci, narzekając na ich wychowanie. Rodzice odpowiadali: „Idź do pracy w kołchozie! Tam dają pić smaczną, czystą wodę i mocną herbatę – i to z dużą ilością cukru! A jeśli zostaniesz w tej norze – to i będziesz jadł tylko gówno”. Moroka lepiej czuł się zimną. Chociaż w ziemiance było zimno, to wszędzie leżał czysty śnieg, z którego mógł korzystać pod dostatkiem, roztopiając go w kociołku. Mówił: „Zima jest dobra. Nikt mnie nie wygania do pracy w polu i jest dużo czystej wody...”.

Co jakiś czas przyjeżdżał do wsi, kierować kołchozem, nowy przewodniczący, pochodzący z innych stron. Z początku nie miał pojęcia, jakie Liaszcziwka ma problemy z Moroką. Nie wierząc opowieściom władz wiejskich, sam próbował nawiązać z nim kontakt. Mówił, że w jego praktyce nie było jeszcze przypadku, żeby ktoś się wykręcał i nie chciał pracować w polu albo na fermie. „Pójdę, pogadam z człowiekiem po dobroci – i on sam nabierze rozumu! A jeśli nie zechce – są i inne sposoby. Będzie biegać do pracy ranym świtem. Odpracuje wszystkie lata nieróbstwa!” Ludzie mówili zgodnie: „Mamy tu chorego, niedołącznego”. Nowy przewodniczący odpowiadał:

„Chory? Na pewno je za trzech zdrowych!”. Podchodził do ziemianki Moroki i do dziury mówił: „Au! Au!”. Moroka w ziemiance szybko gasił kaganek i, przyciśnięty, siedział cicho, nie wydając żadnego dźwięku. Rozumiał, że jeśli przyszedł do niego tak ważny człowiek jak przewodniczący, to sprawa jest poważna i najlepiej jest nie wysuwać głowy z ziemianki. Przewodniczący wsuwał swoją głowę w głąb jamy, próbował tam wleźć, wpatrywał się w ciemność. Nic nie widząc – odchodził. Następnego dnia Moroka wynosił na powierzchnię ziemię z ziemianki. Ludzie pytali go: „Jak idzie praca? Pracujesz? Napracowałeś się?”. „Tak” – odpowiadał Moroka. „Kopię zapasowe

„Mamy do czynienia z oczywistym przypadkiem antyspołecznej zмовy: dwoje przeciw całemu kolektywowi, niechęci do współpracy z władzami, z instytucjami społecznymi. Dobrze, że nie mają dzieci; przerwie to linię ich rozwoju. A tak – co by się narobiło! Mógłby powstać gatunek człowieka podziemnego, nowa błędna gałąź w rozwoju człowieka”.

wyjdzie z ziemianki! Gdyby weszli, żeby mnie wyciągnąć na wierzch, to będę mógł przez tę dziurę uciec do lasu”. Przewodniczący oświadczał: „Niech się nie boi i żyje spokojnie! Połapałem się już w sytuacji Liaszcziwki, także w sprawie Moroki”.

Kiedy raz my, dzieci, pokrzykawszy pod ziemianką Moroki, poczuliśmy, że obowiązek został już spełniony i zaczęliśmy się rozchodzić po domach, nauczycielka powiedziała: „Dzieci! Idźcie do domów, weźcie słoiki, nalejcie do nich naftę i zbierajcie do nich żuki z Kolorado. A jutro rano przynieście słoiki do szkoły; sprawdzimy, kto nazbierał najwięcej stonki”. Któreś z dzieci spytało: „A dlaczego na stonkę mówi się żuk z Kolorado?”. „W Ameryce jest stan Kolorado. Tam wrogowie naszego kraju wyhodowali wyjątkowo wredną broń – żuka, którego wrodzy szpiedzy regularnie rozrzucają po naszej ziemi, zarażając nim naszą ziemię i uprawy”. Ktoś krzyknął: „Niech i Moroka zbiera żuki!”. Nauczycielka powiedziała: „Moroka sam jest takim żukiem z Kolorado. Cały czas chowa się w ziemi, je niezasłużenie chleb wypracowany przez pracowitych ludzi, żyje tu u nas tylko dlatego, że korzysta z dobroci naszych ludzi. Gdy był Stalin, takich Moroków pośród ludzi nie było. W czasach stalinowskich wszyscy byli uczciwymi, porządnymi ludźmi!”. Podczas jednego z klasowych zebrań Olga Stiepanowna powiedziała: „Uczniu Kulyk! Mieszkacie najbliżej Moroki. Powierzamy wam z całą klasą

obowiązek uważnej obserwacji Moroki. Kładźcie się w trawie, w krzakach, za pnem drzewa i patrzcie, kiedy Moroka wychodzi ze swojej nory. Idźcie za nim w pewnej odległości, żeby się nie zorientował, że go śledzicie. Kiedy wychodzi na powierzchnię, na pewno idzie na kołchozowe pole kraść kartofle. A kartofle należą do kołchozu, posadzone są rękami waszych rodziców. Kartofle należą do narodu, do państwa i kraść ich Moroce nie pozwolimy!”.

Moroka pochodzi ze starego kozackiego rodu. Jego przodkowie byli odważni duchem, duszą i myślami. Machali szablami, wywalczając sobie wolność. Moroka nie ma szabli ani innej broni – a walczy duchem.

Kiedy przyszedłem do domu i powiedziałem krewnym, że nauczycielka wybrała mnie do śledzenia Moroki, ojciec się przestraszył. „Kiedy się to skończy!” – powiedział. „Żyliśmy przy Stalinie – ciągle ktoś kogoś śledził. A tu Breżniew – i też nie może uspokoić waszej nauczycielki”. Spytałem ojca: „A Moroka może być szpiegiem?”. Ojciec popatrzył na mnie ze zdziwieniem: „A skąd ci to przyszło do głowy?”. „Nie wiem” – odpowiedziałem. „To co on je i za co żyje?” – znowu spytałem ojca. Ojciec wziął wiadro i nałożył do niego ziemniaków. Powiedział: „Odnieś to Moroce. Będiesz wiedział, co on je, i nie fantazjuj!” „Kartofle?” – spytałem. „Tak, kartofle” – odpowiedział ojciec – „Powiedz w szkole, że Moroce przywozi kartofle z powiatu krewny, sekretarz partii – i może twoja nauczycielka się wtedy uspokoi”.

Olga Stiepanowna na zajęciach z biologii podjęła temat ewolucji świata zwierzęcego. Z jej słów wynikało, że nie mogła pogodzić się z tym, że człowiek urodzony na powierzchni ziemi wszedł na drogę regresu, destrukcji swojej świadomości i polazł żyć w jamie. „To zjawisko, dzieci, można wyjaśnić tylko skrajną szkodliwością, złośliwością i niechęcią do normalnego życia pośród ludzi. Jest to widoczna degradacja rozwoju! Można zrozumieć, kiedy jakiś pojedynczy człowiek choruje psychicznie. Ale w naszym liaszczewskim przypadku jest ich dwoje naraz: mąż i żona. Mamy do czynienia z oczywistym przypadkiem antyspołecznej zмовy: dwoje przeciw całemu kolektywowi, niechęci do współpracy z władzami, z instytucjami społecznymi. Dobrze, że nie mają dzieci; przerwie to linię ich rozwoju. A tak – co by się narobiło! Mógłby powstać gatunek człowieka podziemnego, nowa błędna gałąź w rozwoju człowieka”. Któreś dziecko powiedziało, że widuje często Morokę na ulicy i on nie cały czas siedzi pod ziemią. „Tak, nie cały czas, ponieważ głód go stamtąd wygania. Wychodzi, chodzi po wsi, żebrze...”

– odpowiedziała Olga Stiepanowna. W domu pytałem ojca: „Co, naprawdę on tak nie lubi władz, że siedzi pod ziemią na znak protestu?” „I nie lubi, i nie chce się jej poddać. Przy swojej zewnętrznej słabości, jest tu u nas najmocniejszy duchem, taki podziemny wywrotowiec. On wojuje, a my wszyscy się poddaliśmy”. I ojciec mi wyjaśnił filozofię życiową Moroka. Moroka pochodzi ze starego kozackiego rodu. Jego przodkowie byli odważni duchem, duszą i myślami. Machali szablami, wywalczając sobie wolność. Moroka nie ma szabli ani innej broni – a walczy duchem. Dlatego my, Kulykowie staramy się podkarmiać Morokę, żeby żył jak najdłużej. Jest to nasza broń i chcemy nią dotrzeć do sumienia partii, pokazać jej, że poprowadziła nas nie w tę stronę, która jest zrozumiała i potrzebna ludziom. Te słowa ojca pozwoliły mi wreszcie trochę z tego zrozumieć. Kiedy Moroka szedł po ulicy, biegła za nim horda dzieciaków, krzyząc: „Ziemny żuk! Ziemny żuk!”. Moroka bezradnie machał trzymanym w ręce kijem, starając się nim dosięgnąć któregoś z krzykaczy, ale dzieci odbiegały, chwytaly grudki ziemi i rzucały nimi w Morokę – jakby chcąc go tą ziemią zarzucić i pograć go w niej. Pokazywały mu: co ty tu robisz na powierzchni, twoje miejsce jest pod ziemią. Moroka, nie oglądając się za siebie, przyspieszał kroku i szedł dalej w swoich spra-

Idea jego filozofii była prosta: jest biedny dlatego, że wszędzie są komuniści, i czy będziesz pracować, czy nie – i tak będziesz biedny. Ojciec mi mówił: „Moroka, chociaż i biedny, za to ma czystą duszę”.

wach. Ktoś z dorosłych wychodził na ulicę, brał do ręki kij i rozganiał horde dzieci, krzyząc: „Bezwstydne, bezwzględne dzikusy!”. Biegiem wracał do domu, łapał coś do jedzenia, doganiał Morokę i wciskał mu to do rąk. Pytał: „Cierpisz?” „Cierpię” – odpowiadał Moroka. „My też cierpimy...”

Raz w roku, kiedy przychodził czas płacenia podatku za działkę, na której zbudowana była ziemianka – dla Moroki następował sądny dzień. Z powiatu przyjeżdżała kobieta – inspektor. „Obywatelu! Zapłacicie rubel czterdzieści pięć kopiejek!” Oczywiście Moroka nie miał takich pieniędzy i nie mógł zapłacić. Brakowało mu także najwyraźniej genu odpowiedzialnego za odczuwanie tego, co wiąże się obywatelską świadomością, poczuciem długu wobec społeczeństwa za to, że żyje się na ziemi pośród ludzi, i poczuwaniem się do obowiązku płacenia za to podatku. „Obywatelu! Rubel czterdzieści pięć kopiejek!” – dźwięczało rok za rokiem. Znajdowali się ludzie, którzy płacili ten podatek za Morokę. Czasem na kwotę tę składała

się cała ulica – po dziesięć – piętnaście kopiejek – i płacili. Moroka w takich przypadkach wyjaśniał, że nie ma w tym jego winy, że pojawił się na świecie – tak chciał Bóg. I tak oto jest na ziemi pod słońcem. „I co mam zrobić? Nie mam pieniędzy na podatek. Nie ma w tym mojej winy. Gdyby Bóg chciał dać mi pieniądze, to bym je miał i zapłaciłbym im ten podatek. A jeśli ja tu na ziemi im przeszkadzam, że żyję na świecie, to niech mnie posadzą do rakiety i wystrzelą w kosmos! I tak się przed nimi chowam pod ziemią. Nie ma przed nimi ratunku ani na ziemi, ani pod ziemią! Może bym i się zgodził zostawić życie i przyjąć

Brakowało mu najwyraźniej genu odpowiedzialnego za odczuwanie tego, co wiąże się obywatelską świadomością, poczuciem długu wobec społeczeństwa za to, że żyje się na ziemi pośród ludzi, i poczuwaniem się do obowiązku płacenia za to podatku.

śmierć z ich rąk albo ze swoich. Ale życie dał mi Bóg i dlatego nie mogę go sobie odebrać. A co oni ze mną zrobią – to ich sprawa. Staną kiedyś przed Bożym sądem i odpowiedzą, kto miał rację: czy ja – człowiek męczony, czy oni – moi prześladowcy”. I tak upływało życie Moroki – na rozważaniach i filozofowaniu. „Nie ma w tym mojej winy, że jestem biedny”. Idea jego filozofii była prosta: jest biedny dlatego, że wszędzie są komuniści, i czy będziesz pracować, czy nie – i tak będziesz biedny. Ojciec mi mówił: „Moroka, chociaż i biedny, za to ma czystą duszę. Nigdy nie poddał się sowietom, nigdy ich nie uznał. Pozostał sam na sam z Bogiem”. „A żona – co?” – spytałem. „A co żona! Męczy się z nim i z tego męczeństwa została świętą” – odpowiedział ojciec.

Przyszły lata osiemdziesiąte. Syn siostry Moroki był jednym z powiatowych sekretarzy partii. Na partyjnych zebraniach bezustannie przypominał mi o wujku, który hańbi sowiecki ustrój i siedzi w norze. Siostrzeniec, sekretarz partii, wybudował Moroce mały domek, gdzie mógłby on normalnie żyć, ale Moroka nawet tam nie wszedł. Ludzie z sąsiednich wsi przyjeżdżali popatrzeć na świętego człowieka. Próbowano zabrać go z żoną do domu starców. Tam również się modlił i ciągnął żonę z powrotem do ziemianki. Ludzie przynosili im jedzenie, więc na starość nie żyli w tragicznym głodzie. Kiedy jako mały chłopiec przechodziłem obok ich miejsca zamieszkania, czułem wielki strach przed odmiennym sposobem życia. Kołchoźnicy uważali Morokę po prostu za leniwego człowieka. Chciałbym porozmawiać z tym człowiekiem przy świadomości, jaką mam teraz: w jaki sposób przetrwał czasy stalinizmu? Jak mu się udało pokonać swoją słabością mechani-

zmy gwałtu, nie poddać się wtedy i nie dać się złamać? Jakim sposobem Bóg przeprowadził go po drodze życia i utrzymał jego duszę w ciele? Pogrzeb Moroki i jego żony odbył się w jednym dniu, mimo że jego żona zmarła kilka dni po nim. Pochowali jego i jego żonę jakby dla zabawy, z czerwonymi flagami i orkiestrą dętą. Tak Moroka przegrał ostatnią bitwę w ostatnim dniu swojego pobytu na tym świecie. Na mogile postawili słupek i gwiazdę zamiast krzyża, a ołówkiem napisali „Iwan Michajłowicz Paciora”. Jak się okazało, miał imię, imię po ojcu i nazwisko. Żonę położyli obok niego – „Paraska Iwanowna Paciora”. Kiedy skończył się komunizm, siostrzeniec postawił krzyż. [...]

Kilka lat po śmierci Moroki, kiedy wieś już o nim rzadko wspominała, a jego ziemianka zniknęła zasypana ziemią przez traktory i zaorana, pojawiła się nowa wolna Ukraina. Do wsi zaczęli przyjeżdżać dziennikarze z Kijowa. Wypytywali o Morokę. Pisali artykuły, w których pojawiał się to jako walczący z systemem, to jako wizjoner, który widział więcej niż inni, siedząc w swoim podziemiu. Opierał się plecami o wilgotną ziemię i wpatrywał

Z artykułów wynikało, że we wsi był tylko jeden Moroka, który walczył z systemem: nie chodził na świąteczne demonstracje 1 maja, nie nosił transparentów trzymanyh wysoko nad głową, nie wykrzykiwał haseł. Ludzie byli niezadowoleni z tej pisaniny. Narzekali: „My też nie wykrzykiwaliśmy haseł, ale o nas nikt nie wspomina. Tylko chwalił Morokę. A kto nas pochwali? My budowaliśmy Ukrainę od początku i do końca władzy radzieckiej...”.

w małym okienku, przez które wlewało się nagle światło przyszłej wolnej Ukrainy. Ludzie opędzali się od dziennikarzy, żeby ci dali im spokój. Mówili: „Był leniwy!”. Inni dodawali: „Może coś i widział, ale my sami niczego takiego nie widzieliśmy...”. Z artykułów wynikało, że we wsi był tylko jeden Moroka, który walczył z systemem: nie chodził na świąteczne demonstracje 1 maja, nie nosił transparentów trzymanyh wysoko nad głową, nie wykrzykiwał haseł. Ludzie byli niezadowoleni z tej pisaniny. Narzekali: „My też nie wykrzykiwaliśmy haseł, ale o nas nikt nie wspomina. Tylko chwalił Morokę. A kto nas pochwali? My budowaliśmy Ukrainę od początku i do końca władzy radzieckiej...”. Pojawił się pomysł, żeby Morokę postawić pomnik w Kijowie, na jakimś niewielkim skwerku – jako walczącemu o wolność Ukrainy. Władze się jednak zastanowiły i powiedziały: „Bohaterów mamy wielu. Wszystkim nie da się postawić pomników”. Zamiast pomnika po-

wstała książka – *Wierny syn Ukrainy* – napisana przez Ostapa Kremiennego. „I ta książka będzie największym pomnikiem!” – powiedziała Katarzyna Gurska na zebraniu z mieszkańcami wsi. „Był Kozakiem i umarł jak Kozak. Nie poddał się Moskalom, nie poszedł na kompromisy. Od niego można zacząć odliczanie czasu, w którym pojawiła się świadomość narodowa i społeczeństwo obywatelskie – i brać przykład!”

Przypisy:

1. Zaprezentowane w tym numerze fragmenty twórczości pisarskiej Iwana Kulika stanowią kontynuację cyklu autobiograficznych opowiadań malarza prezentowanych we wcześniejszych numerach „Pressji”. Wszystkie skróty pochodzą od redakcji.

Iwan Kulik (ur. 1959):

ukraiński malarz mieszkający w Polsce. W latach 1983–1989 studiował architekturę wnętrz i malarstwo monumentalne w Instytucie Sztuk Użytkowych w Charkowie. Od 1990 roku mieszka i tworzy w Polsce. Dominującą część jego twórczości stanowią obrazy olejne, które łączą się w cykle tematyczne. Najważniejsze z nich to cykle inspirowane wielkimi postaciami historii i sztuki, nastrojem miejsc, i portrety. Od 2001 roku artysta tworzy także gwasze związane tematycznie z wybitnymi dziełami literackimi. Pierwszym utworem, który go zainspirował, był *Mistrz i Małgorzata*. W następnych latach powstały dwa kolejne cykle: *Folwark zwierzęcy* oraz *Don Kichot*. Miał dotąd kilkanaście wystaw indywidualnych, najważniejsze w Warszawie, Łodzi i Sopocie, a także w Wiedniu. Od niedawna zajmuje się również pisaniem.